

MAŁGORZATA WIECZOREK

LISICZKA

Pan Zhong siedział na stopniu prowadzącym do wnętrza stacji cesarskiej poczty i przyglądał się chłopcu trzymanemu za ucho przez jednego z kurierów. Chłopak był bosy i dość nikczemnego wzrostu. Zakurzone stopy i twarz pozwalały sądzić, że błąkał się już od dłuższego czasu, zaś brud na policzkach przecinały jaśniejsze ślady po łożach, wyglądające jakby tamtędy przepełzły ślimaki. W tych miejscach widać było, że jest piegowaty, nie tylko brudny.

- Grzebał w śmieciach – pan Zhong w zamyśleniu powtórzył słowa kuriera. Spojrzał na dzieciaka uważnie. Podniósł jadeitową laskę, oparł jej koniec pod brodą małego jeńca i zmusił go, by spojrzał mu prosto w twarz.

– Wydaje mi się, że już go kiedyś widziałem. Jak się nazywasz, chłopcze?

Chłopcem wstrząsnął dreszcz. Próbował pokręcić głową, lecz ucho nadal było uwięzione w stwardniałych palcach dorosłego mężczyzny.

- Lian – powiedział kurier. – To dzieciak pani Li. Od jej pogrzebu stracił rozum i pęta się od domu do domu, czasem coś ukradnie. Nie mówi.

Pan Zhong podniósł wzrok na latarnię i zamglony księżyc nad nią, zwiastujący nadciągające chłody. Noce trafiały się już całkiem chłodne, zbyt zimne, by ze spokojem myśleć o pozbawionym dachu nad głową dzieciaku.

- Niech w takim razie zostanie, skoro nie ma krewnych zaniepokojonych jego losem – zdecydował. – Poleć dać mu coś do jedzenia. I znajdź mu jakieś miejsce do spania.

Kurier złapał chłopaka za ramię i pociągnął w stronę kuchni, do której wchodziło się po drewnianych schodach. Lian poszedł nie stawiając oporu, zrozumiał, że – przynajmniej na razie – nic mu nie grozi ze strony tych ludzi. Równie posłusznie wszedł za mężczyzną do środka i przystanął zdziwiony, gdy owionęło go ciepłe powietrze ogrzane przez ogień na palenisku i pod garnkami. Mimo wieczornej pory po kuchni krzątało się kilka osób, przygotowując posiłki na następny dzień i dla spóźnionych podróżnych, których stacja poczty witała bez względu na porę dnia czy nocy. Pokryte sadzą i tłuszczem

ściany dawno nie widziały mydlin i wody, lecz wszystko poniżej wyglądało schludniej.

Kurier skinął ręką i przywołał kucharkę, która odłożyła bambusową przykrywkę zakrywając z powrotem gotowane na parze drożdżowe sakiewki z mięsem.

- O co chodzi? – zapytała mężczyznę popatrując na chłopca z niepokojem. Widziała go już wcześniej. Kiedyś nawet ukradkiem zostawiła mu coś do zjedzenia i nie wiedziała, czy przypadkiem nie dostanie jej się za to reprimenda.

- Pan Zhong pozwolił jemu zostać – odpowiedział kurier. – Masz go nakarmić, a potem pokazać mu jego miejsce w stajni. Niewiele rozumu mu zostało, ale pewnie koniom nie będzie przeszkadzać jego towarzystwo.

Kucharka z zadowoleniem pokiwała głową. Nie marnując więcej czasu naląła do czarki rosółu z kaczych nóżek i postawiła na stole.

- Siadaj i jedz – powiedziała do Liana.

Chłopak popatrzył na nią ze zdziwieniem i uniósł do góry obie ręce. Trzymał je na wysokości twarzy, aż kucharka zrozumiała.

- Masz rację – powiedziała uderzając się ręką po udzie zakrytym przez kaftan. – Jesteś brudny jak nieszczęście.

Pokazała mu kąpiel, gdzie na stołku stała misa, a obok dwa dzbany z wodą.

- Doleję ci trochę gorącej – powiedziała.

Stajnie zbudowano, zgodnie z wymogami geomancji, symetrycznie po obu krańcach dziedzińca. Zamykały go od północy i południa. Od wschodu stał budynek stacji, ulokowany nad rzeką, do której bezpośrednio można było zejść po kamiennym stopniu. Na zielonkawej wodzie zawsze kołysała się łódź gotowa popłynąć dalej, niosąc jakąś z cesarskich – i nie tylko – wiadomości.

W stajni, do której zaprowadziła Liana kucharka, było zimniej niż w kuchni. Nie docierało też ciepło piecyków, ogrzewających stróżujących na dziedzińcu wartowników.

- Jestem Qin – powiedziała do Liana kucharka, podając mu derkę i wskazując ką, w którym już czekała na niego wiązka świeżego siana, ułożona na całkiem okazałej stercie już rozwiązanego. – A jak ty się nazywasz?

Chłopak, który do tej pory wykonywał bez wahania jej polecenia, dokładnie rozumiejąc, czego się po nim spodziewano, milczał. Patrzył w twarz pani Qin, jakby nie mógł odgadnąć, co oznaczają dźwięki, które wydobywają się z jej ust.

- Ludzie powiadają, żeś Lian, chłopak zmarłej pani Li.

Lian przechylił głowę, ruchem szczeniaka, który bardzo chce zrozumieć, co do niego mówią, ale nie potrafi.

Kucharka westchnęła, sięgnęła do kieszeni fartucha, z której wyjęła słodkie księżycowe ciastko z fasoli, które zostało z uczyty dożynkowej. Wraz z jabłkiem podała je chłopcu. Lian od razu wbił zęby w ciastko. Owoc schował do kieszeni.

- Trzeba będzie ciebie odkarmić. Chudyś strasznie – powiedziała. – I dowiedzieć się, jak ci pomóc. Zanim twoja matka zachorowała, podobno usta ci się nie zamykały. A po jej śmierci zupełnie przestałeś się odzywać. Myślę, że mógłbyś mówić, gdybyś tylko zechciał. Pan Xian może będzie znał na to jakieś lekarstwo.

Lian całą swoją uwagę poświęcił karemu koniu, który zaczął parskać z niezadowoleniem.

- To Chmura – powiedziała Qin – a w zasadzie Burzowa Chmura. Nazwany tak z powodu charakteru. Nie zwracaj na niego uwagi, ani nie podchodź. Tylko jednej osobie pozwala na sobie jeździć, ciebie może poturbować.

Na potwierdzenie jej słów ogier zaczął jeszcze energiczniej dawać upust zirytowaniu. Staął dęba, a potem skoczył czterema kopytami na coś dla nich niewidocznego, próbując to najwidoczniej stratować. Z rozszerzonymi nozdrzami, błyskiem białek oczu wyglądał jak demon z dna piekieł. Zarżał jeszcze raz gniewnie.

Spod jego nóg wytrysnęła rdzawa smuga, w świetle ognia z dziedzińca dostrzegli błysk rudej kity, gdy znikła za drzwiami stajni.

- Lis! – wyszeptała pani Qin. – Tym razem Chmura złościł się nie bez powodu. W życiu nie przypuszczałam, że zobaczymy tutaj lisa. Och, mam nadzieję, że to tylko zwierzak.

Chmura nadal wydawał z siebie parsknięcia i uderzał kopytami po belkach, które oddzielały go od ludzi. Harmider, jaki narobił

wystarczyłyby do postawienia na nogi nie tylko żywych, ale też cały zastęp duchów, które strzegły wejścia do cesarskiego pałacu.

Hałas przyciągnął z dziedzińca jednego ze stróżów, wysokiego mężczyznę o długim, lśniącym wąsie, który wszedł do stajni i przystanął, przyciągając uwagę kucharki. Zaczęła coś mówić, lecz przerwał jej gestem ręki i wskazał na chłopca.

- Nie rób tego! – zakrzyknął.

Lecz Lian już się znalazł po drugiej stronie i ostrożnie zaczął gładzić Chmurę po szyi, który z niespodziewaną łagodnością zaczął skubać włosy chłopaka, okazując końską czułość. Jednocześnie nadał parskał i podrzucał głową, a po jego karku przechodziły dreszcze marszcząc pokrytą aksamitnym włosiem skórę. Z każdą chwilą jednak koń się coraz bardziej uspokajał, w końcu schylił łeb i oparł na ramieniu Liana, który przytulił się policzkiem i sięgnął ustami do ucha zwierzaka. Jeżeli coś mu powiedział, nie słyszał tego żaden z dorosłych. Po chwili ogier odsunął się od chłopca, który bez zwracania uwagi na stróża czy kucharkę skierował się w stronę wyznaczonego mu wcześniej posłania. Widząc to, mężczyzna i kobieta wyszli ze stajni wciąż nie mogąc uwierzyć w to co widzieli na własne oczy.

Lian owinął się derką i zakopał w sianie. Był zmęczony, a ciepło promieniujące z żołądka było tak obezwładniające, że wkrótce zasnął, pierwszy raz od dawna zapadając w głęboki sen.

Śnił i w tym śnie rozmawiał ze smokiem. Przeraził się, gdy go w pierwszej chwili zobaczył, lecz kierując się senną logiką przypomniał

sobie, że kiedyś go już widział, że to był jeden ze smoków noszących w fałdzie skóry na podgardle perłę, dającą nieśmiertelność. Ktoś mu kiedyś o tym opowiedział, lecz nie wiedział kto – lub nie chciał wiedzieć.

Sen zaczął się zmieniać, zanikać. Obraz smoka zaczął falować i przez chwilę widział przed sobą zwierzęta, których części złożyły się na niego. Łapy lwa, głowa osła, ciało węża, skrzydła orła. Lub może tylko mu się wydawało. Wszystko zaczęło wirować i już nie był tak pewny, czy rzeczywiście stwór, z którym rozmawiał, był smokiem. Zanim zupełnie przestał śnić, ostatnie co zapamiętał to słowa „Pamiętasz? Już ci mówiłem. Stworzenia z Kunlun zawsze będą się tobą opiekować”.

Rano Lian już nie pamiętał swojego snu. Wyrzebał się z derki i siana. Zanim zrobił cokolwiek innego podszedł do Chmury. Wyjął jabłko i przepołowił kręcąc dłońmi w przeciwnych kierunkach. Połówkę podał zwierzęciu, a sam zaczął zjadać resztę.

Odwrócił się słysząc cichy zgrzyt otwieranych drzwi.

- Widzę, że się zaprzyjaźniliście – powiedział pan Zhong wchodząc do stajni. – Dobrze się składa. Będziesz się nim opiekować. Karmić i czyścić.

Lian bez słowa odwrócił się w stronę konia, nie okazując, czy zrozumiał. Zaczął delikatnie gładzić go po aksamitnej skórze nad nozdrzami. Chmura niby gniewnie cofał głowę pod dotykiem, by po chwili znowu przybliżyć pysk do ręki chłopca.

- On nie lubi obcych. Dla ciebie robi wyjątek – powiedział naczelnik. – A teraz zmykaj do kuchni, dostaniesz coś do jedzenia. Qin już coś dla ciebie przyszykowała. Tylko najpierw osiodłaj Chmurę.

Pan Zhong powrócił z przejażdżki jeszcze przed południem. Zsiadł z Chmury na dziedzińcu i rzucił wodze Lianowi, który karnie czekał pod stajnią na powrót konia, by go rozkulbaczyć i wyczyścić.

Zaraz do naczelnika podeszła jego gospodyni, starszawa kobieta, zarządzająca służbą zarówno na stacji poczty jak i w jego prywatnym domu. Odczekała aż Lian odejdzie z rumakiem, zanim się odezwała.

- On nie przyniesie niczego dobrego – powiedziała odprowadzając chłopca wzrokiem. – Jakiś duch musiał go opętać. I związać mu język. Inaczej by mówił.

- Nie mówi, bo nie chce. I tyle – odpowiedział pan Zhong.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Lepiej go tu nie trzymać – upierała się przy swoim. – Ale ja nie o tym chciałam mówić. Pan Xian, aptekarz, czeka na pana. Mówi, że musi o czymś porozmawiać.

Naczelnik skinął głową i skierował się do swojej kancelarii po drugiej stronie dziedzińca. Mieściła się w budynku pochylającym się nad kanałem, którego wodę w godzinach przyływu mącił niesiony z prądem muł z pobliskiej rzeki.

Pomalowane na wiśniowo ściany wypaczyły się z lekka od wilgoci, a kamienne podproża nosiły ślady stóp wielu pokoleń kurierów. Na

ścianach wisiały powiązane w pęki bambusowe deseczki z wygrawerowanymi informacjami na temat specjalnych cesarskich przesyłek, tak by w każdej chwili dało się prześledzić ich losy.

Pan Zhong wszedł do środka głównej kancelarii i przywitał się z aptekarzem. Pan Xian odwzajemnił ukłon i tradycyjne powitanie, i wyprostował się na ile pozwalał mu jego zaawansowany wiek. Uśmiechnął się, marszcząc twarz przy tym w zmarszczkach, które upodobniły ją do wyschniętej śliwki. Dookoła niego roztaczał się zapach anyżku i innych ziół.

- Dotarły do mnie wieści – zaczął pan Xian, - że mały Lian znalazł sobie tutaj przytulisko. Znałem jego matkę, kupowała u mnie często leki. To smutne, że nie mówi. Lecz jeśli się nie mylę, mogę mieć lekarstwo na jego przypadłość. Musiałbym go jednak mieć pod swoją pieczę cały czas i obserwować reakcje na napary. To ważne bym był przy nim, gdy zacznie mówić i odpowiadać na pytania.

Pan Zhong popatrzył na niego z zamyśleniem. Odkąd opuścił cesarski dwór po zdanych egzaminach na urzędnika państwowego niższego stopnia, nie spotkał jeszcze medyka czy też aptekarza, w którego fachowość by nie wątpił. A informacja, że zmarła pani Li leczyła się u niego nie zwiększyła wiary.

- Chłopak nie mówi, bo nie chce – powtórzył to samo, co powiedział gospodyni. – Poza tym jest przydatny tutaj. Kiedy poczuje się bezpieczny, sam zacznie mówić. Nie potrzebna mi pańska pomoc. Jeśli uznam, że jest inaczej, sam o nią poproszę.

- Pani Qin prosiła mnie bym się tym chłopcem zainteresował. –
Inaczej bym nie przyszedł – powiedział z godnością aptekarz.

- I za to zainteresowanie dziękuję. I troskę.

Następnego dnia pan Zhong również udał się na konną przejażdżkę.

Prowincja, w której znajdowało się Wodne Miasto, leżała na tyle na północ, że uprawy ryżu ustąpiły miejsca pszenicy, ale na tyle na południe od stolicy, że śnieg widywano tu rzadko, chociaż nie był czymś niespodziewanym. W każdym roku było kilka śnieżnych dni, nawet jeśli śnieg zawsze z miejsca topniał.

Teraz też padał, zbyt wcześnie, bo była jeszcze jesień, i białe płatki spadały na rżysko, wzdłuż którego jechał na Chmurze pan Zhong. Dzień robił się wyraźnie krótszy, więc wieczorne przejażdżki za miasto zastąpił porannymi. Jechał stępą drogą obsadzoną z obu stron wierzbami, dokładnie przyciętymi przed zimą. Z szerokich pni sterczały krótkie, cienkie pozostałości gałęzi, z których na wiosnę żwawo odbijają nowe witki.

Wtem jego uwagę przyciągnął powóz, który jechał z naprzeciwka. Gdy zbliżył się, dostrzegł w jego wnętrzu damę, która na jego widok kazała woźnicy się zatrzymać.

Pan Zhong grzecznie powściągnął konia i zatrzymał się przy kobiecie.

- Och, proszę powiedzieć mi, czy jeszcze daleko do Wodnego Miasta. - Miała słodki głos, nie mniej uroczy od jej twarzy, z akcentem

jakiego dawno nie słyszał, a którego dźwięk bardzo mu się spodobał. –
Odziedziczyłam w tej okolicy majątek i jadę do brata.

- Nie dalej niż godzina drogi, pani – odpowiedział pan Zhong. I przedstawił się.

- Mei Mei – podała swoje imię kobieta.

Pan Zhong pochylił głowę. Przypuszczał, że pani Mei Mei, zatrzymała się nie dlatego, że rzeczywiście pragnęła zasięgnąć informacji, woźnica przecież wyglądał na miejscowego, lecz dlatego, że sądząc po stroju i koniu, uznała go za osobę o podobnym statusie. I że zapagnęła zdobyć nowych znajomych na miejsce tych utraconych, których musiała porzucić wyjeżdżając ze stolicy.

- Jestem zaszczycony – powiedział. – Mam nadzieję, że przypadnie mi ten zaszczyt i będę mógł widywać panią częściej.

Przystań i kancelaria nie były miejscami, w których pan Zhong lubił za długo przebywać. Swoją siedzibę zbudował kilometr od brzegu, na skraju Wodnego Miasta. Wysoki kamienny mur zasłaniał ogród, w którym stał jego dom, przed oczami wścibskich. Właściciel zadbał, by tutaj staw był zawsze pełen czystej wody, w której jak złoto-pomarańczowe ogniki goniły się karasie, prześcigając się z promieniami słońca odbijającymi się od powierzchni. Co jakiś czas chowały się w cieniu schylających się nad wodą późnych kwiatów, by znów wychynąć i podpłynąć w stronę większego cienia, w miejsce, gdzie symboliczny

ogień oddawał pole zimnu, pod skały w których wnętrzu zmysł i wycucie ogrodnika umieściły sztuczną grootę.

Pan Zhong lubił w niej przebywać w upalne dni, lecz teraz jej zimno przypominało mu o nadchodzącej zimie, wołał więc słoneczniejsze ścieżki w pobliżu domu, zręcznie ozdobione rzeźbionymi pergolami i wietrznymi dzwonekami, odganiającymi złe duchy. W przeciwieństwie do innych mieszkańców Wodnego Miasta, naczelnik stacji nie wierzył by zagrażały mu złe duchy, lecz pogodził się z projektem narzuconym mu przez lokalnego architekta, szanując tradycję, jak przystoi każdemu rozumnemu człowiekowi.

Pan Zhong lubił swój ogród, troskliwie zaprojektowany i doglądany. Siadał na stołku z siedziskiem z laki, rzeźbionym po bokach w smocze głowy i wsłuchiwał się w oddech ogrodu, który dla odmiany, naczelnik był o tym przekonany, przypatrywał się jemu. Nie lękał się zatem samotności, mógł siedzieć tak godzinami, lecz niedawno pojawienie się kogoś nieoczekiwanego i nowego w Wodnym Mieście zmąciło tę przyjemność, chociaż okazało się w końcu być mile widzianą odmianą.

Jak większość mężczyzn pan Zhong był czuły na kobiecą urodę, a dama która od pewnego czasu zaszczyciała go rozmowami była wyjątkowo urodziwa. Widział teraz jak szła od strony sadzawki, gibka, wąska w talii, a jednocześnie silna i zdecydowana. Miała najładniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział, okrągłą i czystą, o młeczej skórze, którą przecinały zdecydowane łuki brwi stykające się nad nosem.

Delikatne, małe wargi były umiejętnie ukarminowane, przypominając maleńkie truskawki. Pani Mei Mei zbliżała się, idąc miękkiem krokiem, przechylając się łagodnie jak trzcina przy lekkiej bryzie, a długie jedwabne rękawy jej sukni falowały za nią, przypominając mu miękkość wody.

Pan Zhong jeszcze bardziej lubił z nią rozmawiać. Od czasu gdy zdał egzaminy na cesarskim dworze i został mianowany naczelnikiem poczty i urzędnikiem państwowym nie miał okazji rozmawiać z nikim wykształconym. Nie zamierzał spędzić całego życia w Wodnym Mieście i przygotowywał się do kolejnych egzaminów, które pozwoliłyby mu zostać kimś, kto może pracować w stolicy, jeśli nawet nie w pobliżu tronu. Czerpał więc przyjemność z obecności kogoś, z kim mógł porozmawiać o zawartości zwojów które czytał. A ona, nawet jeśli nie znała konkretnego dzieła, zawsze wiedziała coś o jego autorze.

Wstał, gdy zeszła z mostku nad strumykiem, który wpływał do stawu. Pokłonił się, podniósł i wyciągnął dłonie w jej stronę.

- Pani Mei Mei – powiedział. – To zaszczyt.

Podejrzewał kim jest, jego posada wiązała się z dodatkowymi przywilejami, mógł wysyłać niezliczone pisma do swoich znajomych przy okazji innych zleceń, nikt nie uważał tego za jakiegokolwiek nadużycie, ale nikt z jego znajomych ze stolicy nie potwierdził istnienia pani Mei Mei ani jej rodziny. A ktoś taki jak ona nie zostałaby niezauważona. Lecz nie przeszkadzało to cieszyć się jej obecnością. Nigdy nie był specjalnie zabobonny, więc jeśli nawet była duchem, a

nie ukrywającą swoją tożsamość intrygantką, to nie uważał tego za powód do zerwania miłej znajomości.

Uśmiechnęła się do niego, jakby zadowolona z kierunku, w którym pobiegly jego myśli.

- Pamiętaj pan, że obiecałam zabrać pana dzisiaj do szczególnego miejsca? – zapytała słodkim głosem.

Przytaknął. Miała być to najlepsza restauracja, jaką kiedykolwiek miał mieć szansę odwiedzić. Cieszył się na to jak dziecko, chociaż zadbał, by zachować się godnie, jak przystało urzędnikowi.

Pojawiała się zawsze w ogrodzie, przychodząc nie wiadomo skąd, a on nie zadawał pytań. Bez zastanowienia i tym razem podał jej rękę i zaprowadził do powozu. Pomógł wsiąść i podniósł zwisający skraj szaty. Obszedł pojazd dookoła i sam zasiadł obok damy. Ruszyli.

Jadąc wkrótce zostawili za sobą Miasto z jego woniejącymi kanałami i nudnymi obowiązkami naczelnika stacji cesarskiej poczty. Rozpogodził się i zaczął żartować. Pani Mei Mei odpowiadała żartami i sam nie wiedząc kiedy przestał zwracać uwagę, którędy jechali. Dopiero, gdy się zatrzymali zauważył, że dookoła nich rozciągało się rżysko, a przy samej drodze stała karczma ozdobiona czerwonymi lampionami, na znak, że można w niej się zatrzymać i posilić.

Wysiedli z powozu, do którego od razu podszedł stajenny i razem z woźnicą zaczął wyprzęgać konie i prowadzić je do stajni. Weszli do środka przez pomalowane na wiśniowo drzwi, przy których kołysały się dzwonki zawieszane na szerokich pasiastych taśmach.

Na ich widok jeden z kelnerów gestem wskazał im stół na galeryjce, miejsce odpowiednie dla tak szanownych gości, lecz nie podszedł do nich. Na widok tego afrontu pan Zhong zapomniał w jednym momencie o wesołości, która nie opuszczała go w drodze. Zamiast tego zaczął odczuwać dziwny, niewytłumaczalny niepokój. Tak jakby robił coś niestosownego. A przecież tak nie było.

Zasiedli przy stole, na którym stały już miseczki z plasterkami marynowanego lotosu i suszonymi krewetkami. Tym razem pani Mei zachowała powagę, gdy sięgnęła po przekąskę.

- Mój drogi – powiedziała cicho pochylając się do naczelnika. – Musisz pójść złożyć zamówienie. Kelner jest uczciwym człowiekiem, nie podejdzie do mnie.

Pan Zhong zamarł z krewetką przy ustach i popatrzył na nią z przerażeniem. Przecież wiedział, kim jest. Lisem, przybierającym ludzką postać duchem, podejrzewał to od chwili, gdy nikt nie potwierdził jej istnienia, lecz wcześniej nie miało to dla niego znaczenia. Dopiero teraz przeraziła go głupota tego, co zrobił – zaprzyjaźnił się z lisicą. A żaden z lisów nie traktował ludzi jako równych sobie. Każdy z nich – i każda – szukały sposobu, aby zadać człowiekowi ból, sprawić nauczkę. Ale nie mogły oszukać uczciwego człowieka.

- Stałem się nieuczciwy – powiedział pobielającymi wargami, gdy zdał sobie sprawę z konsekwencji i pomyślał o aptekarzu.

- Owszem – odpowiedziała lisica. – Powinieneś mu pozwolić spróbować.

W jednej chwili na miejscu kobiety pojawił się czworonóg z rudą sierścią i puszystym ogonem. I nie czekając aż pan Zhong otrząśnie się ze zdumienia lisica zeskoczyła z belki.

Pan Zhong z przerażeniem rozejrzał się dookoła, podkulił nogi. Siedział w niewygodnej pozycji na belce stropowej, a dookoła siebie zamiast restauracji widział wypełnioną sianem stodołę. Usłyszał śmiech. Zamiast kelnerów i innych gości zobaczył porykujących wesoło wieśniaków. Policzki pana Zhonga zaczęły go palić żywym ogniem. Nie słyszano nigdy by którykolwiek z cesarskich urzędników aż tak się poniżył.

W pośpiechu zeskoczył z belki, upadając niezgrabnie na bele siana, i pognął przed siebie, w stronę Wodnego Miasta, zostawiając za sobą wymyśloną oberżę i własne konie z powozem.

Biegł przez rżysko, nie zważając na drobne płatki śniegu topniejące na policzkach i rzęsach. Gęstniejące w chłodzie błoto oblepiało jego delikatne satynowe buty, nie przeznaczone do pieszych wycieczek po wsi. Po chwili poczuł chłupot pod podeszwą stopy, znak, że już do końca przemokły i zakłął.

Przystanął, wyczuwając coś na granicy zmysłów. Chwilę się zastanowił, czy nie popada w histerię i czy nie traci rozumu, lecz w końcu usłyszał to jeszcze raz – delikatny świst, szelest przecinanego powietrza. Rozejrzał się dookoła. Nikogo. Lecz wtem dotarło do niego,

że alarmujący odgłos nadszedł z góry. Zadarł głowę i zamarł z przerażenia.

Nad nim, zaraz nad jego głową wydawało mu się, szybował, by w tej chwili zacząć gwałtownie opadać, smok jak z opowieści. Pęd powietrza rzucił pana Zhonga na ziemię, w błoto, a przed nim majestatycznie osiadł na ziemi bajeczny stwór, dokładnie taki jakim go w licznych księgach opisano – końska głowa, węzowe ciało i łapy lwa. Już samo spotkanie lisa wystarczyło, aby pan Zhong przeraził się nad życie. Ale smok - och, smok był stworzeniem, którego nigdy nie chciał spotkać.

A smok przysiadł na polu, nie bacząc na topniejące drobne płatki śniegu, ani na błoto. Z uwagą, mrużąc oczy, przypatrywał się panu Zhongowi.

– Lisom nie wolno ufać – powiedział cicho. - Zabierz chłopca na dwór, tam będą potrafili mu pomóc. Spotkałem już go wcześniej. Pan Xian powiedział jego matce, że tylko smocza perła pozwoli jej odzyskać zdrowie, lecz tak naprawdę sam pragnie wiecznego życia.

Powiedziawszy to smok wzbił się w powietrze, a pan Zhong został na rżysku, siedząc tyłkiem w błocie i obiecując sobie, że nikomu nie powie o tym spotkaniu. Z pewnym skrępowaniem, z powodu zaskakującego ciepła, zorientował się, że nie tylko błoto ma w galotach.

Na całe szczęście, pomyślał powoli odzyskując zmysły, zbliżały się terminy egzaminów i wypełnienie poleceń Perłowego Smoka nie powinno okazać się trudne.

Przygotowania do podróży zajęły następny miesiąc. Księżyc znowu był w pełni, a po zapadnięciu zmroku w lasach rozbrzmiewało wycie nawołujących się watah. Wilki, z reguły grasujące na północy, z nadejściem zimy wędrowały na południe, posuwając się za zwierzyną, która szukała lepszego żerowiska.

Pan Zhong przygotował się do podróży solidnie, pakując kufry i przeglądając stare zwoje. Nie wiedział, czy wróci do Wodnego Miasta, cesarz Ming czasem posyłał swoich urzędników na nowe posady, nie dając im czasu na pozamykanie wszystkich spraw w starym miejscu.

Szczerze mówiąc naczelnik pocztowy liczył, że nie będzie musiał wracać. Nie chciał wracać po wydarzeniach, których wspomnienie nadal go prześladowało. Zaglądał w twarze kurierów, służby, zastanawiając się, kto go widział z Lisiczką, jak nazywał teraz Mei Mei, kto pamiętał o ich przyjaźni. Lub – jeszcze gorzej – kto widział jego powrót tamtego dnia, gdy przybiegł w zniszczonych satynowych butach, przemoczony i cuchnący błotem.

Chwilami jeszcze z przestachem spoglądał na niebo, gdy zauważał kątem oka jakiś ruch. Czasem był to niewielki ptak, lecz w większości przypadków nie potrafił zlokalizować rzeczy, która go przeraziła. Bo na pewno nie był to smok, ten się więcej nie pojawił, więc raczej wspomnienie po nim, coś w jego głowie, co nie pozwalało mu zasnąć, cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem.

Zakopał się w pracy, przyniosło to pewną ulgę, upewniał się, że ma szansę na zdobycie najwyższych ocen w czasie egzaminów. I próbował zapomnieć o spotkanym smoku, lecz z gorszym skutkiem. Jedno stworzenie powiedziało mu, by zaprowadził Liana do aptekarza, drugie wręcz przeciwnie. Mając do wyboru zrobić coś, lub nie, zdecydował się postępować jakby nic się nie wydarzyło, więc zaczął zastanawiać się nad odwiedzinami u Xiana. W końcu miał poważny powód – zmęczenie i nerwowość nie dawały mu zasnąć, a musiał odpocząć przed podróżą.

Zirytowany przedłużającą się bezsennością, porzucając wahanie, wyszedł z budynku poczty i ruszył wybrukowaną kamienną kostką ulicą w stronę apteki pana Xiana, która mieściła się kilka przecznic dalej. Nie było śladu po śniegu, który prószył w nocy, stopniał od razu na ziemi, ale siąpił deszcz, krople padały dookoła uporczywie nieprzyjemnymi smużkami i pan Zhong mocniej owinął się płaszczem i przyspieszył kroku. W tym roku panowała wyjątkowo nieprzyjemna aura, z reguły było sucho. Kolejny powód, by chcieć jak najszybciej wyjechać. Wkrótce stanął przed drewnianymi drzwiami ze srebrnymi ćwiekami, które otaczały wąskie szybki.

Wszedł do środka. Otoczył go zapach różnych *yao* - ziół, minerałów, sproszkowanych ludzkich organów i wydzielin. Wyraźnie wyczuwał anyżek i mentol, oprócz nich kilka innych zapachów, które, jak sądził, były mu znajome, lecz nie potrafił ich nazwać, dziwnie znane i obce w tej samej chwili wydawały się w chórze innych woni, tak intensywnych, że przysięgłby że kurz, który widzi w powietrzu to

drobne okruchy medykamentów. Biorąc pod uwagę ilość różnych pojemników na półkach, które widział w głębi pomieszczeń, nie mogło być inaczej.

Zszedł po kilku schodkach prowadzących od wejścia do niewielkiego atrium. Nad głową miał niewielki otwór w dachu, po bokach i przed sobą wejścia do dalszych pomieszczeń. Na pierwszym piętrze okna zaopatrzone były w otwarte teraz okiennice, lecz nie widział za nimi żadnych twarzy.

Rozejrzał się. Za nim wciąż kołysała się wstęga materiału, poruszona przez drzwi, a w powietrzu wciąż słychać było cichnące dzwonki. Po chwili przed panem Zhongiem pojawił się młody chłopak, który zginając się w ukłonach poprosił, aby szlachetny gość zechciał pójść za nim. Poprowadził go do pomieszczenia znajdującego się na wprost drzwi wejściowych, gdzie na widok naczelnika, pan Xian wstał i ruszył na jego przywitanie, tytułując go tym razem dostojnym gościem.

Po wymienieniu wstępnych uprzejmości i wskazaniu Panu Zhongowi drżącą dłonią siedziska, stary aptekarz postanowił przystąpić do rzeczy.

- W czym problem? – zapytał.

- W nocy nie śpię – odpowiedział pan Zhong. – I chociaż wydaję się ożywiony w nocy, to w dzień ta żwawość odchodzi i robię się senny, chociaż nie mogę zasnąć. Przede mną egzaminy, daleka podróż. Muszę mieć siły do tego. Aż zacząłem się zastanawiać, czy to nie sprawka ducha...

- To rzeczywiście niefortunna przypadłość w tych okolicznościach – zgodził się aptekarz. – Lecz na duchy i magię nic nie poradzę. Leczę według współczesnego Kanonu, nie param się magią, ani z duchami nie wchodzę w spółkę – powiedział z naciskiem. – Proszę pokazać język.

Pan Zhong posłusznie wysunął język jak mógł daleko. Aptekarz z poważną miną przyjrzał się całej jego długości.

- Hmm... – mruknął zaglądając głęboko do oczu pacjenta. – Już wiem, która z Pięciu Faz szwankuje – powiedział. – Przygotuję dekokt i przyślę wieczorem. Przygotowanie musi potrwać. To sztuka, składniki dobierane są indywidualnie, dla kogoś innego dekokt może być trochę inny. Proszę więc go z nikim nie dzielić. Dwa główne *yao*, które zapewnią sen i kilka dodatkowych, dbających o to by nie było senności w ciągu dnia, ani innych skutków ubocznych.

Pan Zhong z zadowoleniem przyjął pieniądze i wstał by odprowadzić pacjenta do drzwi. W atrium przystanął, opierając się na swojej lasce i popatrzył na urzędnika.

- A jak się miewa mały Lian? – zapytał.

- Chłopak nadal nie chce mówić – powiedział pan Zhong. – Ale rozumie wszystko, co się do niego powie. I zmyślny jest, będzie z niego pożytek, dobrze sobie radzi ze zwierzętami. Zabiorę go ze sobą na dwór i osobiście zaopiekuję.

- Proszę pozdrowić ode mnie mojego kuzyna, gdy zawita pan na dwór. Peng będzie wiedział, jaki specyfik przepisałem i dalej się panem zajmie.

Pogoda się lekko poprawiła, deszcz zelżał, lecz ciemne kłębiące się chmury nadal wisiały nisko nad miastem. Naczelnik poczty ruszył w stronę domu. Nogi mu ciążyły, potknął się na nierównościach bruku i zdał sobie sprawę, że szura stopami po kamieniach. Wyprostował się dumnie i zaczął bardziej kontrolować swoje ciało, panować więcej nad ruchami. Zatrzymał ręce i opanował chęć potarcia oczu, które piekły jakby ktoś mu wrzucił pod powieki kilka ziarenek piasku. Był senny, lecz jednocześnie przepełniał go niepokój, który nakazywał mu gdzieś iść, śpieszyło mu się do stolicy. Był zmęczony, a jednak nie mógł spać, nie potrafił się odprężyć. Miał nadzieję, że nastąpi poprawa, gdy zostawi wszystko za sobą.

W domu czekały na niego zwoje, które znał już na pamięć, postanowił się przejść. Przestało padać, a mały spacer może sprowadzić łatwiejszy sen później.

Ruszył przed siebie.

W południowej części miasta gnieździły się najbiedniejsze domostwa. Wśród nich ubóstwem wyróżniała się siedziba szewca. Niegdyś był jednym z najbogatszych mieszkańców Wodnego Miasta, a jego wyroby słynne były w okolicy. Z czasem jednak zaczął tracić wzrok i palce przestały być już tak sprawne. Nadal jeszcze pracował, chociaż jego dawni klienci kupowali u niego bardziej z dobrego serca niż z rzeczywistej potrzeby. Czasem tylko zatrudniono jego córkę, której hafty dorównywały kunsztem dawnym wyrobom ojca. Lecz

częściej zarabiała sprzątaniami i dodatkowymi zleceniami, zgodnie z którymi dotrzymywała panu Zhongowi towarzystwa w łóżku. Nie miał powodów wątpić, że był jej pierwszym i jedynym tego rodzaju klientem.

Poznali się, gdy nabył pierwszą parę satynowych butów i chociaż trzeba było poprawić szwy, czym zajął się inny rzemieślnik, to hafty były tak wyśmienite, że zażądał by mu przedstawiono ich autorkę. Zobaczył wtedy nieśmiałą dziewczę, które powiedziało mu, że jej brat, kurier zaginął pewnej zimy i że jej rodzina zawsze związania była z cesarską pocztą, chociaż ojciec był tylko szewcem.

Szybko się zorientował że ledwo wiążą koniec z końcem, a jego gospodyni bez zwlekania opowiedziała mu całą historię. O śmierci brata, najprawdopodobniej wilki zagryzły pod nim konia, i o śmierci matki, na której leczenie poszły wszystkie oszczędności. I to ona pośredniczyła w tym układzie i przyprowadziła nieśmiałą Luan do niego pewnej nocy.

A teraz nadeszła pora jego wyjazdu, którego terminu nigdy nie ukrywał. Zadbał o to, by dziewczyna po jego wyjeździe wyszła za mąż, odpowiednia kwota posagu trafiła do przyszłego pana młodego, jednego z pocztowych strażników.

Stanął przed siedzibą szewca i wszedł do jego warsztatu. Na ścianach z półek zwisały kawałki skóry, korka i satyny, do tego rzemienie i zdobne sznurki, nie mówiąc o włosach konia i paciorkach. Wszystko, co mogło się przydać.

- Chciałbym odebrać zamówienie – powiedział na widok staruszka.

Szewe sięgnął pod stół, przy którym wcześniej pracował, patrząc na trzymany w rękach dziecięcy bucik przez szkło powiększające zamocowane w żelaznej ramie i wyciągnął dwie pary satynowych butów, które pan Zhong zamówił przed wyjazdem. Nawet jeśli parę szwów trzeba będzie poprawić, to w krojeniu materiału i dopasowaniu do nogi staruszek nadal nie miał sobie równych.

Pan Zhong położył na stole pieniądze za buty. A potem jeszcze kilka złotych monet. Szewe popatrzył na niego zdziwiony i zaczął coś mówić, lecz naczelnik nie pozwolił mu dojść do głosu.

- Prezent na pożegnanie – powiedział. – Za całą życzliwość i przyjaźń, jakie mnie ze strony waszej rodziny spotkały. Proszę przyjąć ze względu na pamięć syna, który był też moim synem, bo jestem jakby ojcem dla wszystkich kurierów.

Staruszek już się nie sprzeciwiał, tylko z wdzięcznością uścisnął mu dłoń i pochylił głowę, szepcząc podziękowania.

Pan Zhong był gotów wyruszyć w drogę do Chang.

Pod wieczór uczeń aptekarza przyniósł lekarstwa, prosząc by mógł przekazać też wiadomość od swojego nauczyciela. Zaprowadzono go więc do pana Zhonga, który siedział w fotelu patrząc na ogień, mając nadzieję, że nadchodząca noc, ostatnia w tym domu, upłynie mu na śnie, a nie na przewracaniu się z boku na bok i wspomnianiu rzeczy, których wolałby nie pamiętać.

Młody chłopak, ten sam, którego pan Zhong widział rano, schylił głowę i wypowiedział ceremonialne pozdrowienia od aptekarza, podając naczelnikowi jedno z dwóch zawiniątek.

- To pański dekoka. Jedną miarkę każdego wieczora. Powinno pomóc. Lecz proszę stosować nie dłużej niż tydzień. Jeśli nadal będą problemy, proszę się skonsultować z panem Pengiem. Wszyscy na dworze go znają. – powiedział. – Mój mistrz jednocześnie prosi o wybaczenie śmiałości, ale pozwolił sobie przygotować też coś dla chłopca, Liana. Proszę to przyjąć jako podarunek. – dodał podając panu Zhongowi kolejny pakunek. – To lek w formie czarnych kulek. I proszę jedną kulkę podawać mu z każdym posiłkiem. Nie tak dobry jak napary, ale wzmocni jego qi i chłopak przestanie uciekać przed światem w niemówienie.

- Proszę powiedzieć swojemu nauczycielowi, że przyjmuję jego podarek z wdzięcznością i w imieniu Liana dziękuję. Przyda mu się więcej sił, gdy znajdzie się już na dworze.

Chłopak wyszedł.

Niedługo po nim miał kolejnego gościa.

Opasły księżyc wisiał nisko nad drzewami, szurając, zdało się, ciężkim brzuchem o górne gałęzie, a otaczała go mgiełka przepływającej rozmytej chmury, lekko podbarwionej przez niksące promienie zachodzącego słońca. Ostatniego wieczoru przed jego podróżą Miasto nabrało odrealnionego wyglądu atramentowej grafiki.

Pan Zhong zamknął okno i odwrócił się do Luan. Sprzedał już dom poza miastem i nocować zamierzał na stancyj poczty, wcześniej dopatrując ostatnich przygotowań. Jutro ruszali, a córka szewca chciała się upewnić, że pożegnanie przekazane jej przez ojca było ostatecznym.

- Przecież wiedziałaś, że to nie jest na zawsze – powiedział do dziewczyny. Luan stała ze spuszczoną głową, wpatrując się w palce stóp. Twarz miała okrągłą, miłą może, lecz nie piękną, a włosy związała w cztery kitki cienkie jak szcurze ogonki.

- Zająłem się wszystkim. Zobaczysz, wyjdiesz za mąż po moim wyjeździe. Dostaniesz dobrego człowieka za męża.

Luan panowała nad sobą, widział, jak prostuje plecy po podjęciu wewnętrznej decyzji. Uznał, że oddaliła się od niego groźba nieprzyjemnej sceny.

- Tylko nikt mnie nie zapytał, czy chcę wychodzić za mąż – powiedziała nie podnosząc głowy.

- Zobaczysz, że ci się spodoba.

Nic nie odpowiedziała.

- Chciałbym cię prosić o przysługę. Chodzi mi o małego Liana. Daj mu te pastylki i powiedz, że aptekarz Xian przysłał je, by go wzmocnić. Ma je przyjmować każdego dnia. Najlepiej niech zacznie już teraz.

Lian usłyszał kroki Luan, gdy wyszła na dziedziniec i skierowała się do stajni.

Pan Zhong był w przystani, więc Chmura znajdował się na swoim miejscu. A gdzie był Chmura, tam też znajdował się Lian. Byli nierozłączni.

Chłopak słyszał, jak tak mówiono, o nim i o koniu. Wypowiadano wiele rzeczy przy nim, nie przejmując się, czy rozumie, jakby bycie niemową wiązało się z utratą słuchu i wrodzoną tępotą. Jednocześnie przyznawano, że dzieciak ma talent do zwierząt - w towarzystwie Liana Chmura zachowywał się znośnie. Nie mówiąc o tym psiaku, którego przygarnął, podobną sobie zachudzoną sierotę, która dziwnym zrządzeniem losu nie trafiła do czyjegoś garnka. Dzielił się z nim każdym kęsem, a zwierzak nie oddalał się od niego ani na krok.

Kucharka, gdy to zauważyła zaczęła, przynosić większe porcje jedzenia.

Dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach, kroki ustały, usłyszał tylko jedno niepewne szurnięcie. Pies podniósł głowę i cicho warknął. Wstał i ukradkiem zbliżył się do drzwi, które zaczęły uchylać się powoli.

Lian obserwował całą scenę z leniwym zainteresowaniem z beli siana, na której siedział i obgryzał jabłko.

Zwierzak rzucił się bronić wejścia do stajni. Ze stłumionym charkotem złapał za materiał, skraj długiego kaftanu, lecz do spokoju doprowadził go cichy gwizd. Bez protestu wrócił na miejsce przy ścianie. Z zewnątrz dobiegł rechot kilku przechodzących mężczyzn, a

zarumieniona dziewczyna, gdy upewniła się, że nic już jej nie grozi, wsunęła się do wnętrza.

Spod ściany patrzyło na nią lekkim zezem wcielenie niewinności w postaci wiejskiego pokurcza, podrośniętego szczeniaka, rasy nijakiej, z krzywo powycinanymi kołtunami, chlubiącego się krzywymi łapami i długimi w jej oczach kłami, z których jeden co prawda lekko się niegdyś ukruszył.

- Ja się jeszcze z tobą kiedyś rozprawię – powiedziała cicho.

Podeszła i usiadła przy chłopcu na sianie. Wyciągnęła z kieszeni zawiniątko z pigułkami od aptekarza i mu podała Lianowi.

- To leki, które przygotował dla ciebie pan Xian, moją ciebie wzmocnić. Masz je brać codziennie. To ważne, proszę żebym, ci to powiedziała. Musisz zrozumieć.

Pierwszy raz odwiedziła chłopca w stajni, wcześniej widziała go w domu, gdy czyścił sadzawkę z karasiami i karmił słowiki w klatkach. Lian miał wrażenie, że go polubiła, bo się nie odzywał i ona mogła mówić, co chciała. Nie miał nic przeciwko słuchaniu. Ludzie chcieli wypełnić ciszę i mówili ciekawe rzeczy, których, jak sądził, w innym przypadku by nie powiedzieli.

Luan ciężko westchnęła, więc chłopak popatrzył na nią oczami urodzonego słuchacza.

- Na takie rzeczy nie można nikogo przygotować – powiedziała w końcu. –Po prostu żyjesz z dnia na dzień, nie myśląc o tym, że coś się

skończy. Aż pewnego dnia dowiadujesz się, że pan Zhong wyjeżdża, a ty zostajesz. I koniec.

Lian patrzył na nią nie rozumiejąc, co Luan próbuje mu opowiedzieć. Bardzo często nic nie rozumiał z tego, co mu mówiła, lecz z przyjemnością słuchał. Interesowała go barwa jej głosu, odbicie światła na włosach. Nie wiedział, dlaczego, ale lubił siedzieć koło niej.

Lecz dzisiaj pan Zhong kazał jej coś mu powiedzieć. A on nie rozumiał.

Nie rozumiał też, kiedy nagle wstała i podeszła do drzwi.

- No i co zrobisz? Nic, prawda?

Wyszła, a on nadal nic nie kojarzył.

Wziął czarną okrągłą jak perła pigułkę z zawiniątka. Połknął i popił wodą z dzbanka, który miał stale przy swoim miejscu. Podarował mu go jeden ze strażników i Lian uznał go za jedno z najładniejszych naczyń, jakie kiedykolwiek widział, chociaż był to zwykły fajans.

Wziął derkę, zakopał się w sianie, nadal nie wiedząc, o co chodziło dziewczynie.

Zasnął.

I obudził się grubo po północy. Obudziło go przekonanie, że wie, że coś zrozumiał. Tak jak spał, w jednej chwili już był obudzony i wiedział, co chciała mu powiedzieć dziewczyna. Wszystko się zgadzało – pan Zhong, jak ona powiedziała, chciał żeby zrozumiał. I tak się stało.

Leżał z bijącym sercem, przerażony obrazem, w jaki złożył wszystkie elementy. Był naiwny sądząc, że pan Zhong zabierze go ze

sobą na dwór. Jak mógł zakładać, że pojedzie tam, gdzie Burzowa Chmura? Wiedział, że koń lubił go najbardziej ze wszystkich ludzi naczelnika, lecz to nie znaczyło, że Lian pojedzie z nim do stolicy.

Wyteżał pamięć, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek pan Zhong osobiście powiedział mu, że zabierze go ze sobą do Chang. Nigdy. Lecz wszyscy zakładali, że tak się stanie.

W przestrachu zorientował się, że od jakiegoś czasu nikt nic nie mówił przy nim o tym wyjeździe. Czyżby dlatego, że wiedzieli, że nie jedzie, wiedzieli że zostaje i nikt nie chciał poruszać tego bolesnego tematu, nie chcieli go zasmucać przedwcześnie?

Aż w końcu pan Zhong poprosił swoją kuzynkę – jak myślał Lian, bo tak kucharka przedstawiła Luan chłopakowi, nie chcąc wyraźnie określać, jaką rolę pełni w domu naczelnika - aby mu to uświadomiła.

Lian nie zmrużył już tej nocy oka.

Pan Zhong dla odmiany przespał całą noc snem spokojnym i głębokim, co stwierdził z zadowoleniem po przebudzeniu. Cokolwiek było w leku, który dla niego przygotował aptekarz, zadziałało jak powinno, nawet jeżeli miało dziwny posmak lukrecji i szałwi, a zapach niedopieczzonego mięsa, które zostawione samo sobie spleśniało w popiele.

Czuł się oszołomiony, nadal lekko senny, ale gotowy do drogi. Od długiego czasu nie przespał całej nocy i świadomość, że w końcu pokonał złą passę, nawet z pomocą medykamentu, wprowadziła go w bardzo dobry nastrój.

Wstał. Na siedzisku koło jego łóżka czekało na niego podróżne ubranie – na modłę barbarzyńską skrojone spodnie, koszula i kaftan, wygodniejsze do konnej jazdy od strojów, jakich wymagała jego funkcja i jakie będzie musiał założyć na dworze. Kolory również były przygaszone, wszystko było w kolorach piasku i ziemi. Przebrał się szybko i założył długie buty.

Niewiele jadał na śniadanie, ważniejszy był posiłek południowy, lecz wolał się najeść przed drogą, więc kazał sobie podać owsiankę i kandyzowane owoce. Chłopak stojący przy drzwiach, który obsługiwał kurierom, czym prędzej pognał w stronę kuchni spełnić jego polecenie.

Po śniadaniu kazał przygotować Chmurę, na którym chciał jechać. Cały dobytek czekał już od wieczora załadowany na wóz. Nie było sensu odwlekać wyjazdu.

Gdy Lian usłyszał od chłopaka pracującego w kwaterach kurierów, że pan Zhong polecił osiodłać Chmurę, bo zaraz rusza w podróż do Chang, zachwiał się na nogach. Znowu nikt nie powiedział nic o nim samym. Z ciężkim sercem zrobił, co od niego wymagano i wyprowadził konia na zewnątrz.

Czekał na przyjście pana Zhonga, przerażony tym, że nie może niczego się dowiedzieć. Już wcześniej próbował zadać jakieś pytanie, lecz gula, którą miał w gardle od dłuższego czasu, nie znikła. Czuł, jak blokuje mu krtań, Chciał coś powiedzieć, lecz był tam sparaliżowany, krtań ściśnięta, zamiast słów wydobywał się z niej szelest, świst przepływającego z trudem powietrza. Jednocześnie czuł, że braknie mu

tchu, że może się przewrócić i zemdleć, a serce wywijają koziółki, czuł je w gardle, gdzie jeszcze bardziej blokowało gulę, nie pozwalało jej się ruszyć.

Pan Zhong pojawił się na dziedzińcu i zaczął podchodzić do Chmury. Pod Lianem zdrząły nogi i chwycił się mocniej konia, niemal zawisł na jego grzywie. Gdy naczelnik podszedł, zamiast podać mu wodze i pomóc wsiąść, trzymał je w dłoniach, nie puszczał, mimo lekkiego szarpnięcia i zdziwionego spojrzenia mężczyzny.

- Coś się stało, chłopcze? – zapytał Zhong.

Lian wiedział, że musi coś powiedzieć, że każdemu się skończy cierpliwość. Za chwilę przepadnie to, co wydawało mu się rajem, ciepły kąć, strawa i możliwość pracy. Znowu będzie grzebał w śmietnikach, spał byle gdzie, skąd nie przegonią i wiecznie wycierał gile z zasmarkanego nosa.

O ile czegoś nie zrobi.

Próbował coś powiedzieć. Świst powietrza, które usłyszał zamiast własnych słów, prawie doprowadził go do płaczu. Powtórzył próbę. Kolejny raz. I jeszcze. Szelest w końcu zaczął przypominać słowa wypowiedziane drżącym szeptem.

- Co... ze... mną...?

Pan Zhong przez chwilę patrzył na niego wzrokiem, który świadczył, że zupełnie nie zrozumiał pytania.

- Co z tobą?

- Zostaję... prawda...?

- A chcesz zostać? – Naczelnik odpowiedział pytaniem. – Myślałem, że wolisz pojechać z nami do stolicy. Liczyłem na to, że zajmiesz się moimi końmi, gdy już znajdziemy się na miejscu. Mieli ci o tym powiedzieć, mówili, że wyglądałeś na zadowolonego.

- Mówili... – powtórzył Lian. – Pojadę... Myślałem...

- No to dobrze się składa – odpowiedział pan Zhong. – Nie rozumiem tylko skąd pomysł, że mógłbyś nie jechać.

Wsiadł na konia, lecz zamiast ruszyć zastanowił się nad czymś, popatrzył na chłopca, który już się uspokoił, tylko trochę drżał, ale na jego dziecinniej twarzy pojawił się wyraz nadziei.

- A ten twój psiak, jak się wabi?

Lian uśmiechnął się szeroko pewny swojego psikusia.

- Burza – opowiedział już pewniejszym głosem. – Ulewna Burza, bo leje czasami jak z cebra. I warczy. A czasem robi te dwie rzeczy na raz.

Pan Zhong nie krył rozbawienia.

- Weź go ze sobą na wóz – powiedział. – Szczeniak nie zdoła biec przez całą drogę za nami. Dla niego też się znajdzie jakieś miejsce przy mnie.

Zatrzymali się w wiosce na noc. Nie było w niej zajazdu, więc znaleźli nocleg w jednej z chat. Burza natychmiast wdał się w awanturę z jednym z lokalnych psich łobuzów, by czym prędzej, gdy okazało się, że jest ich więcej, poszukać ratunku u swojego młodego właściciela.

Lian pozwolił mu wejść do chaty i zabrał go do siebie, leżeli razem na glinianej *kandze* ogrzewanej przez niewygaśły jeszcze do końca piec. Pan Zhong położył się na łóżku gospodarzy, którzy wraz z dwoma towarzyszącymi naczelnikowi strażnikami, poszukali noclegu w sianie.

- Pamiętam twoją matkę – powiedział pan Zhong. – Przychodziła sprzątać. Wiem tylko, że w którymś momencie przestała się pojawiać, a pani Qin powiedziała, że zachorowała. Co się stało?

- Nie wiem, co jej było – odpowiedział z *kangi* chłopak. – Zaczęła chorować, wydawała wszystkie oszczędności na leki, ale nic jej nie pomogło. Cały czas się przewracała i ledwo chodziła. Miała problemy z utrzymaniem przedmiotów w dłoniach. Potem zaczęła opowiadać różne rzeczy, najczęściej nieprawdziwe i złościła się, że nic nie widziałem i nie pamiętałem ludzi, o których mówiła. Nie chciała niczyjej pomocy, mówiła, że ją oszukujemy. Przystała rozmawiać z ludźmi, tylko leżała w swoim łóżku. Czasem tylko prosiła, żebym ją zabił. Aż w końcu powiedziała, że jest tylko jeden sposób, abym jej pomógł, jedyny. Muszę zdobyć perłę dającą nieśmiertelność, że wtedy da się z niej przyrządzić lek, który jej pomoże. Nie wiedziałem, co zrobić, zabroniła mi już dużo wcześniej o czymkolwiek mówić innym. Pamiętam, że wybiegłem z domu, długo mnie nie było, bo chciałem spełnić jej prośbę, przynajmniej mogłem próbować coś zrobić. Z kimś o niej rozmawiałem, potem wróciłem, ale już nie żyła. Myślę, że ona już dużo wcześniej umarła.

- A ja myślę – powiedział pan Zhong. – Że właśnie na tym polegała jej choroba – że nie wiedziała, co naprawdę mówi. Nie wierzę, że rzeczywiście, gdyby była świadoma tego, co się dzieje, chciałaby wystawić swoje dziecko na takie cierpienie.

- Czyli tak jak on mi powiedział – powiedział Lian. – Ona już była martwa, nawet kiedy się jeszcze ruszała i mówiła. I dlatego chciała, żeby ją dobić.

- Pan Xian pewnie się nie mylił w tej kwestii – powiedział pan Zhong, zakładając, że chłopak ma na myśli aptekarza. - Wiem, że są różne choroby. Możliwe, że gdy była przytomniejsza przerażało ją to, co się z nią działo. Tobie też nie było łatwo.

Lian nic nie odpowiedział, bo też trudno było mu znaleźć jakieś słowa. Najczęściej starał się nie myśleć o tamtych wydarzeniach, tym bardziej że w rzeczywistości niewiele rozumiał z tego, co działo się dookoła niego. Zbyt cierpiał by myśleć, dzielił sobie czas na krótkie odcinki i zajmował się tylko tym, co ważne by przeżyć od rana do południa, a potem wieczora. Nie wiedział w jakim humorze będzie matka, czy będzie go przeklinać, czy opowiadać swoje historie z młodości, która miała upłynąć na coraz to innym dworze. Czy może będzie płakać lub cierpieć w milczeniu. Zareagował odruchowo – gdy poprosiła go, żeby wyruszył na poszukiwanie smoka, wybiegł z domu. Biegł przed siebie, jak najdalej, zrozpaczony. Nie wiedział, co zrobić, gdzie szukać ratunku.

- Nie pozwolili mi zobaczyć ciała, gdy wróciłem – powiedział. – Zjrzałem tylko przez okno. A Perłowy Smok powiedział, że ona była już martwa, kiedy mnie wysłała z domu.

- Więc jednak znalazłeś smoka? – powiedział pan Zhong podnosząc się na łokciu.

- Tak myślę – odpowiedział Lian. – Wydaje mi się, że to pamiętam. I że powiedział, że nikt nie może czegoś takiego żądać od nikogo. On sam zginie jeśli zabierze mu się perłę. I obiecał że stworzenia z Kunlun będą się mną opiekować. Chociaż nie wiem, czy to prawda – zaśmiał się sucho. – Czasem myślę, że jestem jak ona i opowiadam sobie historie, które się nigdy nie wydarzyły.

Pan Zhong uśmiechnął się na wspomnienie swojej przygody.

- Myślę, że możesz mieć więcej racji niż ci się wydaje, mój mały. A teraz idź już spać.

Pan Zhong, Lian i Ulewna Burza wkrótce spali snem sprawiedliwych.

Po dniach spędzonych w podróży, stanęli przed zewnętrznymi murami Chang. Wykonane z ubitej ziemi obłożonej ceglami, wznosiły się wyżej niż pobliskie drzewa. Przed nimi rozciągała się fosa szeroka jak rzeka, błyszcząca błękitem, odbijającym światło zimowego słońca. Od wody odcinała się biel mostu, spajającego łagodnym łukiem oba brzegi.

- To Zewnętrzne Miasto – powiedział pan Zhong. – Bramy są otwarte za dnia i każdy może wjechać, o ile nie wyda się podejrzany strażnikom. Zgodnie z prawem to nie jest jeszcze stolica, raczej przedmieście, osobno zarządzane przez namiestnika.

Lian widząc na sobie wzrok mężczyzny pokiwał głową, dając znać, że słucha uważnie. Nadal niewiele mówił, tylko kiedy musiał, lub coś go zaciekało.

- Za tymi murami są jeszcze dwa inne kręgi murów. Następne prowadzą do Ukrytego Miasta, właściwego Chang, nad którym władzę sprawuje bezpośrednio Cesarz. Nikt nie może wjechać, ani wyjechać bez jego wiedzy, bez pisemnego zezwolenia. Będziemy musieli poczekać, aż otrzymamy zgodę. Może się zdarzyć, że ktoś pozbawiony odpowiedniego *guanxi* spędzi życie na czekaniu w Zewnętrznym Mieście, a nie otrzyma pozwolenia.

- Co to *guanxi*?

- Coś bez czego nie da się żyć na świecie – odpowiedział pan Zhong. – Koneksje, znajomi. Ktoś kto powie, że twoje podanie powinno zostać pokazane Cesarzowi, a nie utknąć na czyimś biurku. Kolejne, ostatnie mury – kontynuował swoją opowieść – prowadzą do samego pałacu. Tutaj już na zaproszenie mogą liczyć nieliczni. Dworzanie, ich rodzina i urzędnicy. Egzaminami odbywają się na dworze, więc jesteśmy w grupie uprzywilejowanej. Ale tak samo jak każdy inny będziemy musieli poczekać na zgodę na wjazd do Ukrytego Miasta, chociaż myślę, że nie za długo.

Ruszyli mostem w stronę otwartych bram. Po chwili przejechali przez nie bez problemów, nic nie zaniepokoiło strażników w hełmach z wywiniętymi rogami. W ich świetle obwiesie nie podróżowali na tak pysznym koniu, z bagażami na wozie i w towarzystwie eskorty złożonej z dwóch strażników z Wodnego Miasta.

Ruszyli dalej przez miejskie ulice, pełne handlarzy, oferujących swój towar podróżnym, zapewne znużonym i spragnionym po długiej wędrówce. Pan Zhong odprawiał ich skinieniem ręki, a jeśli to nie podziałało, to widok srogiej miny strażnika z długim wąsem od razu naprowadzał delikwenta na odpowiedni tok myślenia i wkrótce dano im spokój.

Przejechali przez całe Zewnętrzne Miasto i Lian zamarł na widok murów, do których się zbliżyli. Były z dwa razy wyższe niż poprzednie i zamiast cegieł były obłożone ceramiką i obrobionym kamieniem. Płaskorzeźby przedstawiały smoki. Niektóre z nich krążyły nad ich głowami, inne pozostawały na ziemi. Skrzydła i łuski mieniły się masą perłową, laką, jadem, a od smoczych oczu bił blask szlachetniejszych kamieni.

- Zgodnie z legendą smoki wraz z duchami chronią Cesarstwo i zejdą z murów, jeśli kiedykolwiek wróg podejdzie pod bramy Ukrytego Miasta. Chciałem żebyś to zobaczył, wtedy zrozumiesz moją prośbę. Nigdy przenigdy nie opowiadaj nikomu tutaj o swoim spotkaniu ze smokiem. Może zostać opacznie zinterpretowane. Według tej samej legendy kiedyś już się zdarzyło, że smoki doprowadziły do upadku

cesarza, którego uznały za kogoś, kto szkodzi cesarstwu. Nierozważnie byłoby powoływać się na jakieś *guanxi* u smoków. Musisz mi to obiecać.

Zgodnie z przewidywaniami pana Zhonga po złożeniu odpowiedniego podania nie musieli długo – czym jest bowiem pół dnia wobec czasu trwania Cesarstwa - czekać na decyzję. Jeden ze strażników przy bramie opuścił swoje stanowisko i podszedł do nich.

- Możecie wjechać – powiedział.

Strażnicy z Wodnego Miasta pokłonili się swojemu dawnemu panu i zawrócili w powrotną drogę. Pan Zhong sam chwycił lejce i usiadł na wozie, przywiązując za nim Chmurę.

Lian popatrzył na bramę, nad którą wznosiło się kilka pięter dzielonego dachu z pomieszczeniami dla straży i pomyślał, że nie może przewidzieć, kiedy zobaczy ją znowu z tej strony. Z woli Cesarza może pozostać za tymi murami całe życie i nigdy nie dostać pozwolenia na wyjazd. W porównaniu z Chang Wodne Miasto wyglądało jak zbiorowisko wiejskich chat i nie wiedział, czy ta zamiana przypadła mu do gustu. `

Zatrzymali się w bursie przy Szkole Urzędników, najwyższym budynku, jaki Lian do tej pory widział. Szkoła miała pięć pięter, na które się wchodziło po wąskich schodach, bursa mieściła się na najwyższym. Po drodze na górę Lian minął kilku chłopców w jego wieku, którzy zaczynali dopiero naukę. Minęli go z wyniosłymi

minami, a za jego plecami zaczęli szeptać, by po chwili powiedzieć wyraźnie – Wiejskie, nakrapiane jajo – i zaśmiewając się ruszyć w dalszą drogę na dół. Lian pomyślał, że zdecydowanie bardziej odpowiadałoby mu towarzystwo Chmury i nocleg w stajni, lecz jak mu zapowiedział wcześniej pan Zhong, stolica miała swoje zwyczaje i będzie musiał nocować w pokoju z innymi chłopcami, a opiekę na koniem powierzyć zatrudnionym przez szkołę stajennym. Pan Zhong miał własny pokój i obiecał, że przygarnie na te kilka nocy Burzę.

- Chcę, żebyś, gdy tylko zostawimy bagaże, poszedł ze mną do pana Penga, niech ciebie obejrzy. Mam wrażenie, że dobrze zrobiła ci terapia zastosowana przez jego kuzyna, warto to chyba kontynuować.

Zrobili, jak powiedział. Pan Peng mieszkał niedaleko, w niskim domostwie przypominającym trochę siedzibę aptekarza z Wodnego Miasta, chociaż widać było, że dom był niedawno postawiony i że włożono w jego dekorację więcej pieniędzy i wysiłku. Unosił się za to ten sam wierzący w nosie zapach, tak intensywny, że nie dało się rozpoznać jego składowych.

Na ich spotkanie wyszedł pomocnik pana Penga, starszy mężczyzna z siwym warkoczem, który powiedział, że jego pracodawca został wezwany do siedziby cesarza i że powinien niedługo wrócić, i że prosi, aby poczekali.

- Poczekaj na niego – powiedział Lianowi pan Zhong. – Ja w tym czasie muszę udać się w kilka miejsc, *guanxi* się samo nie wypracuje.

Powiedziawszy to wyszedł, a Lian posłusznie usiadł na stołku, który mu wskazał siwy mężczyzna.

Nie musiał czekać długo, o wiele krócej niż się obawiał. Pan Peng był człowiekiem młodszym od swojego kuzyna i chociaż nie był już młody na jego twarzy nie widać było wiele zmarszczek, które mogłyby świadczyć o wiedzy. Lian się zdziwił, że ktoś taki leczy na dworze.

Na jego widok Peng się uśmiechnął.

- Nic nie mów – powiedział. – Jesteś z pewnością Lian, chłopiec, o którym mi kuzyn napisał. Zgadza się?

Lian potwierdził.

Peng oddał swoją laskę i płaszcz pomocnikowi.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli w spokoju porozmawiać, bo jest parę rzeczy, o które chciałbym ciebie spytać.

Przeszli przez drzwi do pomieszczenia, gdzie usiedli. Pan Peng przyjrzał się Lianowi uważnie.

- Podobno nie mówisz? – zapytał.

- Wolę nic nie mówić, kiedy nie muszę – odpowiedział Lian.

- Lecz widzę, że terapia poskutkowała, stałeś się pewniejszy. Chciałbym, żebyś mi powiedział kilka rzeczy, przede wszystkim, gdzie i jak spotkałeś Perłowego Smoka.

Lian popatrzył na niego z przerażeniem. Nie spodziewał się, że ktokolwiek poza panem Zhongiem zna tę historię.

- A zatem to prawda – powiedział z zadowoleniem pan Peng. – Mój kuzyn miał rację i udało mu się nakłonić twoją matkę, aby wysłała

ciebie po perłę. Stworzenia z Kunlun mają słabość do dzieci. Pomógł ci prawda? Wiesz ile taka perła jest warta? Jakie leki można z niej sporządzić? Gdzie ona jest?

- Nic nie dostałem – powiedział Lian. – Nic a nic. Powiedział, że sam zginie, jeśli ją odda i że nikt nie może żądać takiej ofiary.

Pan Peng uśmiechnął się.

- Ma rację, przepraszam, jeśli ciebie przestraszyłem – powiedział łagodnie. – Popełniłem głupstwo. Oczywiście, że nie można mu jej zabrać. Powiedz mi tylko, czy ją widziałeś.

- Tak. Trzyma ją w fałdzie skóry pod gardłem. Ale jest jego.

- Coś ci obiecał, prawda? Że ci pomoże? Jestem przyjacielem pana Zhonga, możesz mi powiedzieć wszystko.

- Pan Zhong zabronił mi o tym mówić komukolwiek – powiedział Lian.

- Och, naprawdę? I sprowadził ciebie na dwór, ciekawe. Mam nadzieję, że wie co robi. Ale ma rację, nie mów o tym nikomu.

Dalsza wizyta upłynęła już bez wzmianek o smoku i skończyła się z przybyciem pana Zhonga, który zabrał Liana z jego nowym zapasem czarnych pigułek, z ich ostatnią porcją, jak zapewnił ich obu pan Peng.

Gdy tylko wrócili do Szkoły Urzędników, Lian wyrwał się w stronę stajni, chcąc spędzić pozostały do wieczora czas w towarzystwie Chmury. Ledwie zakomunikował swój zamiar, już go nie było, zniknął z za węglem, gnając w stronę stajni. Pan Zhong uśmiechnął się do siebie

i zaczął wchodzić na schody, kierując się do pokoju, w którym czekał na nich Burza. Chłopak najwidoczniej o coś zapomniał, pomyślał.

Na całe szczęście, zdaniem Liana, okazało się, że stajnie na całym świecie są jednakowe. Bez dwóch zdań wolał to miejsce od bursy chłopaków, których rodziny miały odpowiednio dużo pieniędzy, a przede wszystkim odpowiednie koligacje, żeby ich kształcić na urzędników. Od pana Zhonga dowiedział się, że wszyscy uczniowie tak samo jak naczelnik poczty z Wodnego Miasta pochodzili z urzędniczych rodzin i że rzadko przyjmowano kogoś spoza tej warstwy społecznej. Chociaż, jak powiedział z naciskiem pan Zhong, zdarzały się wyjątki. Ale niezbędnym warunkiem była umiejętność czytania i pisania.

Lian doszedł do wniosku, że chętnie by się tego nauczył - widział książki pana Zhonga na tyle często, że zaczęły intrygować - ale pod warunkiem, że nie będzie musiał uczyć się na urzędnika, tylko wolno mu nadal będzie opiekować się zwierzętami.

Chmura na jego widok parsknął przyjacielsko i chłopiec podsunął mu kawałek jabłka.

- Tobie też się tutaj nie podoba, prawda? – powiedział, głaszcząc zwierzaka po nosie. Chmura bardziej niż pieszczotą interesował się, czy w dłoni nie ma kolejnego kawałka owocu lub marchewki. Gdy się przekonał, że nic z tego, parsknął, przyjacielsko przeciągnął zębami po włosach Liana i na koniec szturchnął go pyskiem w ramię.

- Nie mam więcej – odpowiedział na to Lian. – To nie Wodne Miasto, tu nie ma Qin, by nam podsuwała różne smakołyki. Też bym wolał być tam, nie tutaj. Jakoś nie wydaje mi się, żebym pasował do towarzystwa z którym przyjdzie mi nocować.

Drgnął i odwrócił się, gdy usłyszał otwierające się drzwi, przez które wszedł pan Zhong trzymając na rękach Burzę, który na widok chłopca wyrwał się i rzucił się entuzjastycznie witać Liana.

- Zostawię was samych – powiedział pan Zhong i wyszedł.

Lian przywitał się z psiakiem, miętosząc jego uszy. Burza odpał się, skołtuniona wcześniej sierść zaczęła odrastać i widać było, że jego nieodległy przodek mógł być jednym z pałacowych piesków, których krótkie krzywe łapki nie pozwoliłyby oddalić się zwierzakowi zbyt daleko od właściciela. I chociaż wcześniej, z poszarpaną, skołtunioną sierścią wyglądał na wiejskiego pokurcza, teraz zdecydowanie wyprzystojniał. Ktoś musiał go wykąpać i wyczesać w czasie, kiedy sam czekał w lokum pana Zhonga.

Burza entuzjastycznie polizał chłopca po twarzy.

- Wyglądasz, jak nie ten sam – powiedział chłopak. – Zdecydowanie możesz pokazać się teraz w mieście. Przejdziemy się chwilę, dobrze?

Lian uchylił drzwi odrobinę, uważając na drzazgi, których było pełno na brzegu, gdzie uderzenia wozu wyrwały spory kawał deski i ostrożnie wysunął się na zewnątrz. Zapadał zmierzch, lecz nadal wielu przechodniów było na ulicy i słabnące światło dnia delikatnie mieszało

się z zapalonymi lampionami. Robiło się chłodniej, lecz jeszcze nie za chłodno, wystarczyło lepiej otulić się połamami kaftanu, mocniej ściągnąć i zawiązać pasek. Burza radośnie skoczył do przodu, lecz zaraz zatrzymał się i odwrócił instynktownie sprawdzając, czy nie jest sam, jedna z ważniejszych informacji w życiu niezbyt dużych piesków.

I zobaczył coś co postawiło mu sierść na karku. Możliwe, że był małym pieskiem i miał krzywe łapki, nie sprawiało to jednak, że przestawał być psem, którego zadaniem było dbać o innych członków swojego stada. Niewielkiego stada dodajmy, bo ograniczało się do niego i Liana, inni ludzie się w zasadzie nie liczyli, lecz to Lian go przygarnął i zaczął z nim dzielić się jedzeniem. A Burza bardzo poważnie podchodził do swoich obowiązków.

Tymczasem zobaczył, że ktoś o wiele większy od Liana jest za nim, zbliża się. I pachnie w sposób, który się Burzy nie spodobał. Był spięty, czuć to było w zapachu, widać było w poruszeniach. Burza warknął, patrząc na to co się działo za Lianem.

Ku uldze psa chłopak w końcu zrozumiał jego zdenerwowanie i zareagował, odwrócił się i płynnym ruchem, zwodem w bok zdołał uskoczyć przed ramionami, które już miały go złapać. Pusty, czarny worek opadł i z ust napastnika wyrwało się przekleństwo. Lian zaczął uciekać.

W tym momencie Ulewna Burza postanowił udowodnić, że zasługuje na swoje imię, chociaż nie miał zamiaru łać, w każdym razie nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Pewny zwycięstwa, poczuł

wszak frustrację i niepewność wroga, rzucił się z ujadaniem do przodu i złapał mężczyznę za łydkę, charkocząc z całych sił. I popełnił błąd. Jak wielki, dowiedział się dopiero, gdy napastnik z całych sił zamachnął się drugą nogą i silnym kopnięciem posłał psa na ścianę pobliskiego domu. Jednocześnie z hukiem rozległ się skowyt, który sprawił że Lian przystanął, odwrócił się i zawahał przez chwilę. Zobaczył jednak, że Burza, chwiejnie, bo chwiejnie, ale jednak wstaje na łapy i odwrócił się.

I zobaczył, że mężczyzna, który szedł za nim nie był sam. Z cienia wyszedł drugi, zamachnął się, lecz Lian nie sprawdzając, co miał w ręku, odwrócił się i pobiegł ulicą, którą przyszedł, wprost do stajni.

Wpadł do niej, skierował się w tę stronę nie wiedząc dokładnie dlaczego, może ponieważ najbardziej przypominała mu dom i czuł się w niej bezpieczniej niż w bursie.

W środku nie było nikogo, tylko zwierzęta. Przystanął niepewnie, nie wiedząc, co ma robić. Słyszał histeryczne ujadanie Burzy, które to oddalało się, to przybliżało. Podeszedł do Chmury, który parsknął z niepokojem. Z zewnątrz dobiegł go tupot biegnących stóp.

Skrzydło drzwi, to z wystającymi drzazgami otworzyło się i do środka wszedł jeden z obcych, którzy napadli na Liana. Chłopak z lękiem schylił się i przesunął pomiędzy belkami, które oddzielały Chmurę od reszty stajni. Wyprostował się i poczuł na karku oddech konia, który delikatnie trącił go pyskiem w tył głowy.

Mężczyzna, który go gonił, był wysoki i mocno zbudowany, o twarzy, której Lian wcześniej nie widział. Ubrany na czarno, twarz miał pokrytą brudem, dodatkowo utrudniającym identyfikację.

- Podejź tu chłopcze – powiedział skrzypliwym głosem, od którego Lianowi przebiegły ciarki po grzbiecie.

Chłopak pokręcił głową, a Chmura za nim zaczął grzebać nogą, wydając z siebie serię parsknięć.

- No to pójde po ciebie.

Lian cofał się, aż ramieniem trącił pierś konia. Odsunął się i wodząc ręką po boku zwierzęcia schował się za nim. Gdy pod plecami poczuł ścianę, zadrżał, ugięły się pod nim kolana.

Mężczyzna otworzył skobel i pociągnął za górną belkę. Gdy furta odsunęła się na jego szerokość wszedł do środka. Na jego nieszczęście nikt go nie poinformował, jakiego rodzaju koniem był Chmura. Ogier z niekłamaną nienawiścią ugryzł go w policzek, uderzył głową tak mocno, że napastnik stracił równowagę. Koń stanął dęba i opadł z całych sił na pierś człowieka, który tak przestraszył Liana. Chłopak odwrócił się do ściany, gdy zobaczył, co się stało z żebrami mężczyzny po ataku konia. Spomiędzy wystających kawałków połamanych kości wydostawała się spieniona, jasnoczerwona krew, gdy zapadły się płuca.

Pan Zhong podobnie jak Lian postanowił się przejść przed snem. Nie uszedł daleko, gdy usłyszał histeryczne ujadanie Burzy. Obrócił się

na pięcie, gdyż wydawało mu się, że rozpoznał sposób szczekania i poszedł w stronę, z której dobiegało.

Pies ucieszył się na jego widok i puścił szybko w stronę stajni, zawracając co chwila i sprawdzając, czy człowiek idzie za nim. Pan Zhong zaniepokojony przyspieszył. Pies zwolnił przed samym budynkiem i razem zbliżyli się do drzwi, gdy z cienia wyszedł drugi z mężczyzn ścigających Liana.

- Co się stało? – zapytał pan Zhong.

- Nic – mruknął cicho zapytany i uniósł prawą dłoń. Pan Zhong dopiero w ostatniej chwili zauważył błysk opadającego ostrza.

Ból przeszył trzewia naczelnika poczty, gdy nóż sięgnął wątroby. Zgiął się w pół, a spomiędzy palców zaczęła wypływać mu krew, zbyt dużo krwi, zbyt szybko, by mógł przeżyć. Przyjdzie Yumie się pokłonić, pomyślał, gdy zaczął osuwać się na ziemię. Gdy umierał, wydawało mu się, że słyszy szelest skrzydeł i uderzenie kopyt rumaka Pana Śmierci.

Nożownik przeszedł nad nim i nie zwalniając kroku przekroczył próg stajni. Szybko ocenił sytuację i przyjął do wiadomości śmierć kompana. Wyciągnął miecz i sprawnymi cięciami, nie zważając na przeraźliwe rżenie konia i urwany w pół wrzask chłopaka, uchylając się przed kopytami, zrobił to co uznał za konieczne.

Ogłuszony Lian upadł bezwładnie na ziemię.

Coś go uwierało. I to od dłuższej chwili. Starał się o tym nie myśleć, znowu odpłynąć w stan, w którym tego nie czuł. Po chwili jednak znowu coś mu przeszkadzało. Spróbował ignorować. Na pewien czas pomogło, lecz wtem znowu uwierało, w sposób, którego się nie dało zignorować. Czuł, że ma obolałe kości.

Otworzył oczy. Zamknął. Nie było żadnej różnicy. Siedział w ciemnicy. Pomacał dookoła. Ręce wymacały podgniłą słomę.

Chciał sobie przypomnieć, jak się tu znalazł. Może pomogłoby mu w ustaleniu czym to „tu” jest. Nic. Pustka. Żadnych wspomnień, które pomogłyby w opisanu, jak się tu znalazł.

Wtem coś sobie przypomniał. Lian jęknął i zwinął się obolały kłębek. Pamiętał Chmurę, krew i swoją rozpacz. I żał, że kiedykolwiek opuścił Wodne Miasto z jego kanałami. Może i był tam głodny, może było mu chłodno, ale nie musiał oglądać takich rzeczy.

Ale nadal nie pamiętał nic, co wytłumaczyłoby jak się znalazł w celi.

Zimną ciszę przerwał jakiś szelest. Lian drgnął przerażony, nie miał ochoty na szczurze towarzystwo, którego nie mógł dojrzeć, zanim gryzonie po nim nie przebiegną lub się w niego nie wgryzą.

Po chwili szelest się powtórzył i chłopak uznał, że przypomina bardziej szurnięcie. Nagle się zorientował, że coś widzi. Szparę pod drzwiami. I drzwi, okute, ze szczeliną nie tylko na dole, ale też na wysokości oczu. Za drzwiami ktoś stał z lampą dającą tyle światła, że

Lian mógł rozejrzeć się dookoła i upewnić, że nie widać żadnych szturów. Chyba, że któryś z nich przyszedł go właśnie odwiedzić.

Szczęknięty zamki, zaskrzypiały zawiasy i drzwi powoli z mozolem uchyliły się. Za nimi stał człowiek, niepokojąco przypominający Lianowi jednego z mężczyzn, którzy go wieczorem zaatakowali. Po chwili odsunął się i przepuścił kogoś niższego, ubranego w szaty uczonego.

Do celi wszedł aptekarz Peng.

- Witaj, Lianie – powiedział.

Chłopak chciał wstać jak nakazuje dobre wychowanie, lecz jedna z tych rzeczy, które go uwierały, żelazny oków, szarpnął nim i okazało się, że łańcuch, który łączył wszystkie jego kończyny, jest za krótki by mógł to zrobić. Pozostał na ziemi. Pomyślał, że powinien odpowiedzieć na powitanie, lecz bez specjalnego zdziwienia zorientował się, że ponownie nie pamięta, jak się mówi.

Po odczekaniu odpowiednio długiej chwili pan Peng znowu się odezwał.

- Musisz zrozumieć swoje położenie, Lianie. Będę spróbował ci pomóc, lecz zależy od ciebie, czy mi na to pozwolisz. Jedyna twoja nadzieja w tym, że dasz Cesarzowi coś, co jest dla niego cenne. Daj mi perłę, a ja wszystko wytłumaczę jego wysokości. To musiał być nieszczęśliwy wypadek, prawda?

Lian doszedł do wniosku, że jeszcze mniej rozumie niż zaraz po obudzeniu.

- Musisz zrozumieć, jak to wygląda. Nie dopilnowałeś swoich obowiązków i Chmura zaatakował niewinnego człowieka i zmiażdżył mu klatkę piersiową. Bo wydostał się ze swojej zagrody. Zresztą spotkała go za to przewidziana przepisami kara.

Lian uznał, że coś innego pamięta. Oprócz mowy zapomniał też najwidoczniej, jak używać pamięci. Możliwe. Zresztą nie był już taki pewien, co pamięta.

- No i ten nóż, którym zabiłeś pana Zhonga. Był w twoim posiadaniu. Rozumiem, że to nieszczęśliwy wypadek, ale zrozum, że nie będę ci mógł pomóc, jeśli Cesarz nie dostanie czegoś dla siebie. Mam wśród strażników przyjaciół, jeśli powiesz mi, jak znaleźć smoka, to uda się nam zatuszować sprawę i Cesarz ciebie ułaskawi. Lecz jeśli odmówisz współpracy, sprawa będzie musiała być przedstawiona i omówiona przed sądem jego wysokości. Co na to powiesz?

Lian patrzył na niego bez słowa. Świat, który do wczorajszego wieczora nabierał sensu i znaczenia, znowu pogrążył się w chaosie bezsensownych wydarzeń, które nie miały prawa się zdarzyć.

Cesarski płaszcz lśnił złotą przędzą, której nie stworzyły jedwabniki; ich nici były zbyt pospolite na potrzeby Cesarstwa. Miliony pajaków, jedwabniczaków, których przodkowie zostali sprowadzeni zza przepastnego morza, plotły swe złote sieci, z których później ludzie utkali materiał na ceremonialne szaty. Materiał, którego główną ozdobą był intensywnie złoty kolor, połysk atlasu i wypukłe wzory smoków,

których oczy jarzyły się błyskami szlachetnych kamieni, a pazury połyskiwały masą perłową.

Cesarz Ming był wyższy od większości swoich poddanych, twarz miał podłużną z zakrzywionym nosem, który odziedziczył po swoich barbarzyńskich przodkach, chociaż nikt tak nie nazywał ich publicznie. Wygląd miał srogi i dostojny, podkreślony przez złoto płaszcz i wysokiego kapelusza, z którego zwisały klejnoty.

Lian został obudzony następnego ranka, umyty, ubrany w czyste rzeczy i zaciągnięty na Wewnętrzny Dziedziniec, do miejsca, którego nie spodziewał się kiedykolwiek zobaczyć. Znajdował się we właściwym pałacu, lecz jego architektura i ozdoby nie rozbiły na nim większego wrażenia, prawie ich nie zauważał, przerażony tym, co się miało zdarzyć. Było to tak absurdalne, że patrzył na wszystko zobojętniały.

Jedyne co zauważył to strój Minga i jego tron, stojący na podwyższeniu do którego prowadziło kilkanaście stopni. Na dole przed tronem była niewielka sadzawka, w której pływały dwie złote rybki. Tafla wody była niemal równa z podłogą i Liana zaciekało, ile razy ktoś do niej wpadł, ponieważ nie patrzył pod nogi.

Przywleczono go i ciśnięto na podłogę zaraz przed nią.

Wśród zgromadzonych ludzi chłopak rozpoznał pana Penga. Stał niedaleko, a obok niego Lian dojrzał panią, którą pamiętał z ogrodów pana Zhonga w Wodnym Mieście. Przychodziła w odwiedziny i spędzała z nim sporo czasu. Jej wizyty bardzo denerwowały Luan,

wpadała w zły nastrój, jeśli była w okolicy, z powodów, których Lian nie potrafił sobie wyobrazić.

Na znak Minga podszedł i stanął na schodach jeden ze strażników, Lian rozpoznał w nim tego, który wpuścił do niego pana Penga. Trzymał w rękach wielki wór z jakąś zawartością. I zaczął mówić o morderczym koniu i niedopatrzeniu środków bezpieczeństwa. Sięgnął jedną ręką i chwycił za dół materiału, obrócił go i wytrząsnął na schody to co skrywało jego wnętrze.

Lian z przerażeniem zobaczył, że od stopnia odbija się końska głowa, podskakuje nabierając szybkości, kończąc upadek w sadzawce w rozbryzgu wody, która zaczęła różowieć; smugi koloru wiły się wśród rybek. Pysk Chmury był wykrzywiony, zmętniałe oko, które wystawało ponad wodę łytało nieprzyjaźnie. Chłopak poczuł, jak osuwa się na ziemię, lecz nagle ktoś chwycił go za ramię. Odwrócił się i spojrzał za siebie.

- Informacje o tych wydarzeniach są niedokładne – powiedział pan Zhong, puszczając chłopca i prostując plecy. – To nie Lian powinien tu stać oskarżony o niedopatrzenie, lecz pan Peng i jego szajka. Z niewytłumaczalnych dla mnie powodów uznał, że chłopak zdoła go naprowadzić na trop niezwykłego *yao*, którego będzie mógł użyć w drogich lekach i uknuł ten spisek. Lecz Lian nic nie wie i nawet ratując swoje życie nie zdołałby przywołać smoka, żeby zabrać mu perłę. Podejrzewam, że Peng dał się ogłupić lisowi, który mu podpowiedział, co ma robić.

Ming popatrzył na niego z uwagą, skinął głową.

- Zatrzymać aptekarza do wyjaśnienia – rozkazał strażnikom.

Peng nawet nie próbował uciekać, stał w oszołomieniu, nie wierząc własnym oczom.

- To niemożliwe – powiedział aptekarz poruszając pobielającymi wargami. – Ty nie żyjesz.

Pan Zhong uśmiechnął się.

- Czy to jakiś problem? – powiedział cicho.

Po Mei Mei zaś nie było już śladu. Tylko potem ludzie sobie opowiadali, że za drzwiami mignęła lisia, ruda kita.

Gdy zamieszanie się zmniejszyło i odpowiedziano na wszystkie pytania Cesarza, i rozwiano wszelkie wątpliwości, pan Zhong wyprowadził Liana z sali posłuchań.

- Nie mam wiele czasu – powiedział chłopcu. – Prawda jest taka, że muszę odejść. Pan Yuma zezwolił mi zostać do wieczora. Pewien twój przyjaciel wstawił się u niego za mną, bo stwierdził, że w ten sposób najlepiej pomoże tobie. Już wcześniej kazał mi się tobą zaopiekować. A Cesarz uznał, że chce ciebie na dworze. Będziesz się uczył. Czy jesteś gotów na nowe życie?

Lian nagle zauważył cień przesuwający się po kamieniach. Podniósł głowę. Nad Ukrytym Miastem szybował Perłowy Smok.

- Poszukamy najpierw Burzy?

Pan Zhong zgodził się.

